

Rosjanie wkroczyli do Polski 17.IX.1939r. Ojciec już wrócił do domu. We wrześniu był zmobilizowany, ale wojsko nie miało mundurów i broni, i wrócił.

O zsyłkach mówiono między ludźmi gdzieś w listopadzie, grudniu 1939. Pod koniec listopada 1939 przyszedł do nas, do ojca znajomy Ukrai-
niec z Posady Nowomiejskiej. Prosił, żeby ojciec sprzedał mu sprzęt
rolniczy, bo wywiozą nas do Rosji.

Rosjanie, gdy wkroczyli do Wołoczy, nie aresztowali nikogo.

Ukraińiec mówił: sprzedaj, co masz i uciekajcie za San, bo was wy-
wiozą. Przed Świątami mówiło się o wywózce w całej wsi.

Ale nikt nie zgodził się na wyjazd. Dziadek i ojciec powiedzieli,
że się nie ruszą nigdzie - co ma być, to będzie. A można było wtedy
jeszcze wyjechać za San, bo potem, w 1940 już nie. I wtedy, gdybyśmy
się spakowali i uciekli, to uniknęlibyśmy Rosji.

Mimo, że wiele się mówiło o możliwości zsyłki, to nawet na początku
1940 nie było żadnych wiadomości o zsyłce w okolicy. Ta nasza,
10.II.1940r. była pierwszą. Wywieźli wszystkich Poleków ze wsi, zоста-
wili jednego staruszka. Trochę ludzi pozostawiono, bo nie byli
w domach. Np. Józka Ginalska została, potem dojechała do Rosji. Ja nie
wiem, nie rozumiem dlaczego. Za rodziną chyba.

Przed 10.II nie mieliśmy żadnych informacji o przeprowadzeniu
zsyłki. 10.II to był chyba piątek. Wiem, że wtedy w tygodniu było
świniobicie, i jeszcze robota nie była skończona. Na strychu wędziło
się jeszcze mięso, kiełbasa. Poprzedniego dnia piekło się chleb,
jak to przy końcu tygodnia.

Obstewili dom już chyba o 2 godzinie w nocy. We wsi musieli być
wcześniej, bo my mieszkaliśmy za wioską. Do nas przyjechały 4 podwo-
dy, furmanki znaczy. Nasza rodzina była duża - 10 osób.

Wcześniej słychać było ujadanie psów we wsi. Ale nie było słychać
jakiś hałasów, krzyków, odgłosów. Tylko te psy. Bardzo szczekały.

A do nas przyszli dopiero o godz. 6 rano. Załomotali w drzwi. W domu nie spali już od 4. Był jakiś niepokój, coś się działo, ale nie bardzo wiadomo było, co. Ja nie spałam całą noc, przez te psy. To byli Ukraińcy i Rosjanie. Ukraińcy byli z Posady Nowomiejskiej, ojciec znał niektórych. Rosjan nie znaliśmy w ogóle. Rosjanie byli w mundurach. Rosjanie stacjonowali we dworze, u Stankiewicza. Zniszczyli go, cały pałacyk, park. To był piękny dwór. Był bardzo bogaty. Koło nich szło się do kościoła. Myśmy tamtędy chodzili. Gdy chodziliśmy do kościoła, to widzieliśmy ich w tym parku rozlokowanych. Chodzili w czapkach, takich szpiczastych, budionówkach. Myśmy, Polacy, nabijaliśmy się z nich, że takie biedaki. Mieli takie długie szynele, obszarpane, wielu bez butów, karabiny na sznurkach. No bo takiego wojska to nikt nie widział. Przed wojną, koło nas zawsze były manewry. Polskie wojsko. Oni byli tak fajnie ubrani, mundury, rogatywki. Rosjanie w porównaniu do naszych to było dziaństwo.

Tak, wkroczyli o 6. Dziadek i ojca posadzili na środku pokoju i nie pozwolili im się ruszać. Weszli i powiedzieli: sobirajties, u was dwa czasa. Do ósmej mielibyśmy być gotowi. A co my mogliśmy? Ja miałam 13 lat. Myśmy nie za bardzo się spieszyli, to zaczęli nas poganiać. Przyszło ich do nas ze 6, dwóch cywili, reszta w mundurach, z karabinami. Dziadek i ojciec ubrali się i siedzieli na środku. A mama była już wtedy sparaliżowana. Na szczęście lekko, 3 lata wcześniej miała wylew. Ale chodzić nie mogła specjalnie. Ojciec i dziadek siedzieli, matka w łóżku. Krystyna miała wtedy 6 tygodni. Zima, na dworze ostry mróz, ponad 20°C.

Ja to pamiętam tyle: poleciałam do stodoły, spuściłam psa z łańcucha. Poleciałam do stajni, dałam bydłu, nałożyłam tyle siana, ile się dało. A bydło to tak ryczało... Nałożyłam słomy, koniozyny.

Ten ryk była to słyszę do dzisiaj. Nie, ty tego nie zrozumiesz. I nie rozumieli wtedy młodzi, co to znaczy. Iść z domu, ~~prawy~~ nowego domu prawie, stał dopiero 3 lata. Wynosić się z domu. Cały dorobek naszych rodziców. Ja nie mogłam tego pojąć. Psa spuściłam. Przyleciał do domu. Mieliśmy długi korytarz, po jego bokach były pomieszczenia. Po korytarzu chodziło 2 Ruskich. Pies, jak ich zobaczył, skoczył jednemu do gardła. A to był taki brytan łańcuchowy, zły. A ten zaraz chciał strzelać do niego. Ale myśmy krzyku narobili i jakoś nie zastrzelili go. To psisko leciało za nami aż do Nowego Miasta. Szczegółów już dzisiaj nie pamiętam, jak żeśmy się spakowali. Wywóz był tak zorganizowany, że wszystkich brali o jednej godzinie. Do wsi przyjechali wcześniej, ale całą akcję zaczęli wszędzie o 6. I potem spotykaliśmy się na trasie, na głównej drodze. Myśmy początkowo myśleli, że tylko nas wywożą. Ale potem, jak już nas wieźli to zobaczyliśmy, że tych wiozą, i tamtych, wszystkich... Co zabraliśmy? Teraz już tak nie pamiętam, ale na pewno ubranie, maszynę do szycia/bo mieliśmy/ Singera, ojciec wziął narzędzia stolarskie/był cieślą/, pościel, każdy tam miał coś... Mama przygotowywała Krysię. Dużo nie mogliśmy zabrać, bo babcia musiała jechać/chodziła o kulach/ matka z Krysią też jechała. Sanie były duże, ruskie, takie kosze. Trochę żywności wzięliśmy, masła, ale chleb był nie upieczony, i zostało całe mięso na strychu, nie uwędzone. To był dla nas straszny szok. A tej nocy, gdy nas wywieźli, przebudziłam się o 2 godz. I pamiętam sen - śniła mi się ciotka Frenka, matka Bronka Cwynara. Że tak idziemy w lesie taką długą przecinką. I jak się tak idzie, to nie widać końca, wszystko zbiega się na horyzoncie. Jesteśmy obie na tej drodze i ja się pytam: Ciociu, gdzie ta droga prowadzi? A ona mi odpowiada: prosto na Sybir. Tak mi się śniło tej nocy, wtedy. Ja jej ten sen opowiadałam potem, na Syberii. A ciotka Franka pierwsza zmarła w Rosji z naszej

rodziny. W 1941 zmarła, w Nowojagodnie. Skończyli nas pakować około 10-11. Musieli czas przedłużyć, bo inaczej to musieliby nas tam chyba pozabijać.

Podwodami przywieźli nas do Nowego Miasta. To było około 7 km. Na tej drodze spotykaliśmy się, widzieliśmy, jak innych wiozą.

Ludzie jeden za drugim, z tobołami. Ci, co mogli iść to szli obok wozów. 10. II wywieźli tylko nas, Wołozę. Błeczwi wtedy nie wywieźli.

Ale rodziny Koniów i Cwynarów/Lewicka Kazia/, oni mieszkali koło Nowego Miasta, też w tym dniu wywieźli. Potem spotkaliśmy się.

Dowieźli nas na dworzec w Nowym Mieście i tutaj zapakowali nas do wagonów. Cały czas była eskorta żołnierzy. Pociąg był silnie obstawiony. Nie pozwalali się kontaktować na zewnątrz.

Wagony były towarowe, przygotowane dla nas. Miały na środku piecyk. Prycze u góry. Malutkie okienka u góry. Takie, że tylko weszła głowa.

No i na szerokie tory. Gdy ludzie zobaczyli te szerokie tory, to zaczęli rozpaczać. Bo wtedy już wiedzieliśmy, gdzie nas wiozą.

Początkowo ludzie wątpili, że nas wywiozą do Rosji. To było coś strasznego. Krzyki, ludzie zaczęli uciekać, miotać się. Wtedy długo staliśmy. Myśmy zajęli pół wagonu. Mama z Krysią były na górze, część na dole. Po drugiej stronie była inna rodzina. Pamiętam, że pomagali nam zdobyć mleko dla Krysi.

Nie wiem jak, ale ciocia Hela, to oni już tego dnia wiedzieli, że nas wywieźli. Oni wtedy mieszkali w Stryju. Do Przemyśla przywieźli nas po południu. To był cały transport. Było strasznie dużo wagonów. Ale ludzie uciekali, szczególnie młodzi. Potem w transporcie ludzie mówili, komu udało się uciec.

Wyruszyliśmy dalej bardzo późno, prawdopodobnie na następny dzień. Chyba transport stał przez całą noc. Bo ciocia ze Stryja zdążyła przyjechać do Przemyśla, nie wiem jak. Chciała pożegnać się z naszą mamą. To przecież taki kawał drogi, nie było telefonów, a lu-

dzie wiedzieli. I ciocia przyszła się pożegnać. To była taka rozpacz, tak strasznie płakały...

Staliśmy tak długo, bo oni formowali skład, kompletowali. Tych, co zajęli wagony starali się już nie wypuszczać. Oczywiście starsi jeszcze wychodzili, po wodę, po coś jeszcze... Ale nam, dzieciom zabroniono wychodzić. Pamiętam jeden wielki szum, hałas, ogromny ruch. Nad wszystkim dominował straszny niepokój, co będzie dalej. Ludzie sobie tego w ogóle nie wyobrażali. Jak jakiś straszny sen. Tego się nie da opisać, ten kto tego nie przeżył... I ta straszna rozpacz, gdy ludzie zobaczyli te szerokie tory... I wtedy ludzie już mówili, że jedziemy na Syberię.

A przecież można było wyjechać za San, byliśmy ostrzeżeni przez tego Ukraińca. Pamiętam, stali obaj z ojcem na podwórzu, śniegu nie było jeszcze, i on mówił: Marcel, ja wszystko kupię, narzędzie, bydło. Weź rodzinę i uciekaj. A tak wszystko się zmarnowało, wszystko zostało ...

Jak nas brali, największy opór stawiał dziadek. Nie chciał słyszeć o żadnym wyjeździe. Powiedział, że się nigdzie nie ruszy, nigdzie nie pojedzie, że zostanie tutaj. Dopiero na siłę go wsadzili do sani, ojciec próbował mu jeszcze coś tłumaczyć. Ale nie bili nikogo, przynajmniej ja o niczym takim nie wiem.

Z Nowego Miasta do Przemyśla przewieźli nas pociągiem. Z Przemyśla 11. II ruszyliśmy chyba w nocy. Pamiętam, że przejeżdżaliśmy przez Lwów, tu się chyba zatrzymał. Jechał dosyć powoli, to ludzie jeszcze wyskakiwali. Na dachach siedzieli żołnierze, ale ludzie jeszcze uciekali. Nie wiem, czy kogoś złapali. Pamiętam, jaka była rozpacz, gdy wyjechaliśmy za Lwów, za granicę. Ludzie tak płakali, szlochali. Jak jechaliśmy, to każdy starał się wyglądać. Od razu widać było, jako to nędza. Bydło chodziło po śniegu, takie chatki marne. Pamiętam wieczór, ostry mróz, śnieg, takie małe światełka

w oddali... I tak nas wieźli, do Omska. Stawaliśmy po drodze, były postoje. Dawali nam zupę mleczną ze stęchłą kaszą. Roznosili w kociołkach. Była jakaś taka fioletowa, ale czemu, nie pamiętam. Nic więcej nam do jedzenia nie dawali. Wodę braliśmy na stacjach, były takie pompy.

Wieźli nas przez Kijów, Charków, przez Ural, Czelabińsk, Kujbyszew. Wieźli nas 1,5 miesiąca. Przyjechaliśmy do Omska około 20.III. W Omsku wsadzili nas na samochody ciężarowe i przewieźli do miejscowości Ujści-Uj. Tu były bagna, to potem nas zabrali na drugą stronę Irtysza. Tu tylko zimowaliśmy, do kwietnia. Były straszne bagna, gdy przyszły roztopy, nie można było się nigdzie ruszać. Pamiętam, że z Omska wieźli nas przez Tare. A potem jak wybuchła wojna rosyjsko-niemiecka, to wędrowaliśmy po okolicach, żeby bliżej Omska. Po przywiezieniu do Omska wyładowali nas. Każda rodzina dostała swojego anioła stróża. My mieliśmy takiego Szałagina, wojskowego. On nas konwojował. Trzymali nas w ogromnej hali na gołej posadzce. Może to był dworzec, nie pamiętam. Było tam strasznie zimno. Myśmy dostali cały jeden samochód. Byliśmy tam ze 3 dni. Szałagin nas pilnował. Nie można było się nigdzie oddalać. To był ogromny, chyba dwumetrowy chłop, Tatar. Taką twarz miał azjatycką. On nas konwojował do końca. W gruncie rzeczy, okazało się, że był bardzo fajny człowiek, pomagał nam w trakcie drogi. Myśmy się go strasznie bały, twarz miał taką skośną, i w dodatku po ospie.

Załadowali nas do ciężarówki, rano i zawieźli do Tary. Mieliśmy taki adres: Omskaja obłast, Tarskij okrug, Znaminskij rajon. Taki był adres do nas, do Znaminki. Tare to była osada. Wokół były ogromne lasy, dużo jezior. Tam była fabryka amunicji. Robili też sprzęt wojskowy: narty, kolby do karabinów, wszystkie detale z drzewa, łyżwy. Z Omska do Tary wieźli nas około 3 dni. Nocowaliśmy w jakiejś cerkwi. Podróż tymi samochodami była najgorsza.

Cały transport załadowano na ciężarówki, wieźli nas w takim konwoju. Wieźli w różne miejsca. Z Wołczy byli w Nowojsgodnie. Nas tam nie dali. Tutaj, w Bieriozowce to ~~przek~~ prawie nikogo nie było z Wołczy. Kwołkowie byli, Czaże byli. Rosjanie mieszały ludzi. Z różnych miejscowości. Dopiero spotkaliśmy innych w Połogrudowie.

Podróż z Omska do Tary przeżyliśmy okropnie. Wieźli nas pod plandekami. Najgorszy był smród benzyny. Dziedek był ciężko chory. Po drodze stanęliśmy, wieczorem i nocowaliśmy. Dziadkowi zrobiło się słabo. Wynieśliśmy go na dwór i zaczęli nacierać śniegiem. Ja miałam w czasie jazdy bez przerwy torsje. Siedziałam przy samej furcie, ale to nie wiele pomagało. Chyba byłam zatruta. Nie wszyscy znosili to aż tak źle, ale dokuczało wszystkim. Od tego czasu to ja potrafiłam po zapachu - już nawet tu, w Polsce - rozróżnić tę ich ruską benzynę, jej specyficzny zapach.

A potem z Tary znowu podwodami. Tutaj byliśmy krótko, jeden dzień. Załadowali nas w ruskie sanie i powieźli. Eskortował nas Szalagin. Pamiętam, że wtedy Szalagin mówił nam, kiedy przejeżdżamy Irtysz. Wtedy był taki skrzypiący śnieg, ostry mróz, słońce ładnie świeciło. Myśmy, dzieci lecieli za podwodami. Pamiętam, że babcia wypadła nam z sani. Wtedy Szalagin bardzo ~~nam~~ nam pomagał. Podwodami wieźli nas ohyba jeden dzień. Przywieźli nas w tajgę, do Bieriozowki. Z Tary było tutaj około 50 km. Wieźli nas nad Irtyszem w kierunku Tobolska. Bieriozowka była w tajdze. Były dwa baraki. Nas dali do jednego baraku, takiego przejściowego. To był jeden barak i nic więcej wokoło, jeden barak w tajdze. Nie stał nawet na polanie, tylko głęboko w lesie. Les, tajga i nic więcej. To był olbrzymi barak, z pryzami, przygotowany. Tam przed nami już byli ludzie, Polacy. Było tam masę napisów, dat. I w tym baraku nas szczepili, zaraz jak tylko przywieźli. Było w tym baraku około 50 osób. Była służba sanitarna, dawała nam coś do jedzenia. Barak był długi, parterowy, z piętrowymi pryzami.

Bieriozowek było kilka, były numerowane. Ta, w której nas szczepili to była Bieriozowka Nr 1. Z tego baraku przenieśli nas gdzie indziej, też do Bieriozowki. Tam były trzy baraki, było więcej przestrzeni. Tam spotkaliśmy dużo ludzi z Koniowa, wsi niedaleko Wołczy.

Do Bieriozowki konwojowali nas żołnierze. A potem to już byli cywile, rosyjscy zesłańcy. To byli bardzo porządni ludzie. Z innych narodowości nie pamiętam, żeby ktoś był. Pamiętam, że z Dobromiła, z osiedla Rosjanie wywieźli Niemca, Łabuda się nazywał. Jego wywieźli jeszcze dalej, od rodziny. Po tych zastrzykach strasznie chorowaliśmy. Dawali je za łopatkę długimi igłami. Ludzie mieli po 40°C gorączki. Nie wszyscy, ale bardzo dużo. Nie wolno było wychodzić na zewnątrz, bo wilki podchodziły pod barak. Były kible, wszystko się załatwiało w środku. Tam byliśmy dwa, trzy dni. To była chyba taka kwarantanna. W każdym razie byliśmy bardzo krótko.

Ta druga Bieriozowka, te 3 baraki były gdzieś 3 - 4 km dalej. Tam rozmieścili nas w 3 barakach. Były też w tajdze. To było gdzieś 30 km od Irtysza w głąb tajgi.

W Bieriozowce chodziliśmy "suczki żęć". Musieli tam mieć straszne pożary, sterczały kikuty drzew, brzoź. Rosjanie zrobili brygadę, złożoną z dzieci/mnie też jeszcze zaliczyli do dzieci/, a z naszego dziadka zrobili takiego brygadzistę. I myśmy oczyszczali te wypalone lasy. Rosła tam bardzo wysoka trawa. Trawę się zrywało, a drzewo te "suczki", Sęki, składało się na stosy i to się paliło. Trawę kosili na siano.

Do Bieriozowki 1, gdy nastaly roztopy, nie można było dojechać. Były tam ~~brzd~~ bagna.

Bieriozowka, ta druga, była ~~prze~~ położona wyżej, te 3 baraki. Tutaj przezimowaliśmy. Tam już było bardziej sucho. Myśmy byli w baraku położonym z boku, największym z tych trzech. Był bardzo długi. Do tych baraków była już dobra droga. Przed zimą zabrali nas do Poło-

grudowej. Była tam przystań, to osiedle leżało nad Irtyszem. Zbudowali tam dla nas duże osiedle, złożone z drewnianych domów. To było bardzo duże osiedle. Zabrali nas gdzieś w listopadzie 1940r. do Połogrudowej. Tutaj świętowaliśmy pierwsze święta w swoim "gniazdku". Był duży barak i 4 rodziny. Były to największe rodziny. Nas było 10 osób. Byli ludzie z Dobromiła. Barak był parterowy, z ganeczkiem, taki czworak: każdy miał osobne wejście, ganek schodki. Były płyty do gotowania. Potem mieliśmy nawet krowę. Ojciec się wystrząsał o krowinę. Trzymaliśmy ją w osobnej szopie. Mieliśmy kawałek ogrodka, coś się tam już sadiło, na wiosnę, na drugi rok. I tę krowę nam ktoś ukradł. W szopie stała, była ocieplana ta szopa, i ktoś krowę ukradł. Tam już chodziłam do pracy. Chodziliśmy z mamą drzewo palić, nad Irtysz. Tam były olbrzymie stosy drzewa, takie sągi. To wszystko ścinali Polscy w tajdze. I dowozili to wszystko do Irtysza. Irtysz to była główna droga transportowa tego drzewa. Palić drzewo chodziliśmy z mamą w zimie. Potem mama się zaziębiła tej zimy.

Pierwsza Wigilia: /1940/ mieliśmy choinkę, ozdoby jakieś się zrobiło. Ktoś miał jakiś papier, jakąś gazetę i już zrobiono ozdoby, żeby te święta miały jakąś atmosferę. Ty sobie nie wyobrażasz, jak ludzie potrafią w takich sytuacjach myśleć, działać, ratować się!

No z niczego zrobić coś! Mama zrobiła nam Wigilię, tam chyba nawet opłatek był. Pamiętam, że myśmy się tak bardzo cieszyli tą pierwszą Wigilią. I po Wigilii, w ten sam dzień na osiedlu zrobili obławę. Każdy barak miał przydzielonego "anioła stróża" i oni wiedzieli, gdzie kto mieszka. A była okropna zamieć w tym dniu. Od Irtysza w głąb tajgi były porobione "teledzianki", takie koleje lodowe.

Z tajgi wszystko na nich przywozili. To były takie szyny lodowe i po tym jeździły drewniane wagoniki. Co kawałek, przy tych torach były

budki strażników, którzy je pilnowali, oczyszczali je, polewali wodą takimi szufladkami. Były zrobione olbrzymie pobocza i trzeba było ten śnieg przerzucić na te pobocza, żeby tory były wolne. Wagoniki to były takie sennie, bardzo pojemne. Tory były trochę z górki, i oni puszczali je na dół. Jak to R pędziło! Potem wjeżdżały na prostą i przed Irtyszem same hamowały. Myśmy się czasami czepiali tych senni z tyłu i jechali. Ale to była jazda, tylko furkotało! I tej Wigilii te teledzianki strasznie zasypało, zakurzyło. Przyszli gdzieś koło dziewiątej i wyznaczyli osoby. Dali łopaty i odśnieżać. Od nas poszli mama, ojciec i ja. To była cała masa ludzi. Małych dzieci nie brali. I to było daleko, w głąb tajgi. Wyznaczyli odcinki i do roboty. Pracowaliśmy gdzieś do drugiej w nocy. Wcześniej była taka burza, że te teledzianki całe zawiało. Wtedy, gdy myśmy byli, to już tak nie wiało. Był ostry mróz, śnieg skrzypiał, a ludzie tak kolędowali, śmiali się, opowiadali dowcipy. Noc była taka gwiazdzista, ludzie czuli się tak razem, mówili: patrzcie, dzisiaj mamy Wigilię na Syberii. I w takiej budzie "dróżnika" ogrzewaliśmy się trochę. Tymi pilnującymi byli Rosjanie. Wtedy tak zasypało, że oni senni nie mogli nic poradzić. Potem przyszliśmy do domu. I taka była to Wigilia. Księdza z nami nie było zesłanego. Cerkwie to pozamieniali na magazyny lub domy kultury. W Znamience też z cerkwi zrobili jakiś klub. Gdy nas wieźli na Syberię nie pamiętam, żeby ktoś umarł. Umarło na pewno wiele osób, ale ja nie pamiętam. Dzieci umierały małe... Z naszej rodziny nikt w czasie podróży. Co mi się przypomniało. Gdy byliśmy na tej kwarantannie/Bieriozowka 1/, to pokazali nam krzyże, z brzozy. To tu były, to tam. Na Bieriozowce 2, gdy ludzie umierali, to chowali ich w tajdze, w lesie. W Znamience to był już cmentarz. Mama i dziadek byli pochowani na cmentarzu. Była "bolnica". Znamienka była nad jeziorem Kisielowskim. Na Połogrudowej byliśmy do 1943 r. Mama była już bardzo chora. Ojciec

się jakoś postarał, żeby dostać się do Znamienki. Ze Znamienki była większa możliwość dostania się do Omska.

Znamienka była od Połogrudowej około 60 km wzdłuż Irtysza. Na przejazd to było bliżej, jakieś 30 - 40 km. Szłam z taką dziewczyną na piechotę tą trasą w zimie.

W Znamience był już "Rajspałkom", kino, sklepy, mleczarnia.

W Połogrudowej mieszkali Rosjanie. Mieli własne domy. Byli to potomkowie zesłańców. Oni byli już wolni.

W Połogrudowie nad nami miał piecze Reszetnikow, zesłaniec, NKWD-zista. Blondyn, średniego wzrostu, ze złotym zębkiem. Wiesz jak jego się bali. Rosjanie też. Chodził w wysokich oficerkach, błyszczących kurtce, zawsze elegancki i zadbany. Na tle pozostałych, w kufajkach to był ubrany "modnie". Szykowny. Młody człowiek, 36 lat chyba.

I przykolegował się do naszego ojca. Był zesłańcem politycznym, zesłali go już w czasie wojny, ale za co, nie wiem. W obozie był też NKWD-zistą. Było dużo Gruzinów.

W Połogrudowej było około 15 - 20 domów Polaków. Była szeroka droga i baraki były po jednej i po drugiej stronie tej drogi. To osiedle było świeżo zbudowane dla nas .

Tam pracowałam też przy załadunku barek ze zbożem. Gdy dorośli rzucali zboże, to szły wtedy dzieci i sypały zboże w rogi barki, żeby więcej weszło. Tam też kiedyś zwerbowali nas do pracy - przywieźli z tajgi drzewo, takie krzywo wycięte, nie do palenia. Pracowały przy tym same dziewczyny. I to wszystko szło na barki. Postawili ze 200 osób i zrobili taki taśmociąg, jeden drugiemu podaje. Myśmy się głowili co to jest. A potem się okazało, że to były świeżo obrobione kolby do karabinów... Z tajgi. Barki to wiozły do Tary, tam były ogromne stolarnie, i tam obrabiali je do końca.

Myśmy też pracowali w Tarze. Byliśmy wtedy jeszcze w Połogrudowej.

Ojciec wystarał się o kwatery. To był "Wojennyj Zawod". Tam pracowali-

śmy jedną zimę. Ja byłam, Józek i ojciec. Ja nawet już na zmianę pracowałam. W nocy nawet pracowałam.

Kwaterę mieliśmy u takiej ~~litwinki~~ Litwinki. W fabryce czyściłam kolby, łyżwy. Józek nawet pracował. Fabryka była zamaskowana, na około jeziora. Jedliśmy głównie ryby. Ta Litwinka chodziła po ryby, miała wielką, żeliwną patelnię, i je piekła. Tu dobrze płacili. A reszta rodziny była w Połogrudowej. Dobrze dawali jeść. Zawsze na śniadanie była "ucha", zacierka na rosole rybnym, czasami kawałek ryby. To chyba dostawało się 2, 3 razy dziennie. Ja w nocy to głównie spałam. Poszłam na warsztat, ojciec przygotował zawsze wiór, i spałam. Zawsze ze 3 godziny. Ale się liczyło, że coś pracowałam. Racje dla pracujących były wyższe.

Do Znamienki przyjechaliśmy w 1942 r. Tam w 1943 r. zmarła mama. Najpierw zmarł dziadek. W styczniu, był starszy mróz. Dziadek prawie nie chorował. Miał chyba 82 lata. Niedożywienie, starość...

Mieszkaliśmy w wielkiej szkole, to była dziesięciolatka. Mieliśmy dużą izbę. Szkoła była z drzewa, przy niej był internat. Ze znamieńskiego rejonu wszystkie dzieci chodziły do szkoły tam. W czasie oblężenia Leningradu zjechało tam dużo nauczycieli, same kobiety. Mężczyźni ze szkoły w Znamience poszli do wojska. To była elita nauczycielska. Dostali mieszkanie. Dyrektorką została nauczycielka także z Leningradu, bardzo szykowna. Ja w tej szkole pracowałam, paliłam w piecach. Szkoła normalnie pracowała - chodziły do niej dzieci z okolicy, Polacy też. Józek chodził, Jadwiga. Dzieci zesłańców mogły chodzić do szkoły po porozumieniu/Sikorski-Majski - przyp. mój/. Gdy tam paliłam w piecach, to często zaglądałam do gabinetów, klas. Mieli różne pomoce naukowe. Szkoła była bardzo dobrze wyposażona. Jedną z nich, Zoja Michajłowna, często mnie zagadywała: "Lena, Lena, ciebie tak źalno, ciebie nada ucitssa, ciebie nie nada rabo-

tat, ty jesteś taka młoda. Jaką ty będziesz miała przyszłość - palić w piecach. A ja przecież musiałam pracować, żeby przeżyć. Te nauczycielki to były w większości żony lotników, i w większości wdowy. Takie młode.... Staszek chyba też chodził do szkoły. Zoja bardzo chwaliła Józka i Jadwigę, że bardzo dobrze się uczą. Wszyscy bardzo dobrze znaliśmy rosyjski. Te nauczycielki mówiły bardzo poprawnie zawsze nas poprawiały. Tam normalnie to mówiło się gwarą, na wsiach to było trudno zrozumieć, co ludzie mówią, niby ruski. A one nas uczyły języka gramatycznego, literackiego.

A potem nastąpił krach. Tyfus w Znamience. To było w 1943, w zimie, w lutym. Już wtedy ciężko chory był ojciec nasz, potem ja, Jadwiga. I nas wzięli do bolnicy. To była ogromna epidemia. Ludzie marli masowo. Gdy ojciec leżał jeszcze w domu, był nieprzytomny, nikogo nie poznawał, wtedy przyszedł do nas ojciec Bronka Cwynara, Dziadek Lutki. Oni też byli w Znamience. Oni strasznie pomarli, tak sobie jakoś nie radzili. To był gdzieś 7 dzień choroby ojca. I on tak mówi: O, Marcel to już długo nie pociągnie. I poszedł sobie. Potem nas zabrali podwodą do bolnicy, miałam wtedy wysoką gorączkę. Leżałam w jednym łóżku z Jadwigą. A ojciec leżał gdzieś na korytarzu. Włosy mi ścieli, miałam takie długie włosy, warkocz, do gołej skóry ścieli. Przy tyfusie strasznie boli głowa, i ma się gorączkę. W dzień to jeszcze było jako tako, dali suchary, kipyatok. Wieczorem to miałam takie uczucie że jak ktoś by mi zdjął z głowy tę beczkę z kwaśnym mlekiem, to ja będę już zdrowa. Takie majaczenie, urojenie takie. Takie uczucie miałam zawsze pod wieczór. I gorączkę. Nie pamiętam, żeby nas czymś tam leczyli, chininą jakąś może. Wyszliśmy z bolnicy w maju. Już miałam włosy odrośnięte. Józek, gdy byliśmy już trochę lepsi, przynosił nam mieloną w młynku do kawy pszenicę. Przynosił 0,5 litra na nas trójkę. Ja wyglądałam go przez okno, czy już idzie i zawsze

się denerwowałam, że go jeszcze nie ma. Gotowali to w domu, mama zawsze czymś zabieliła.

Potem umarła mama, 11 lipca 1943. Chorowała 2 lata na płuca, miała zapalenie płuc, nie leczone. Ja też miałam zapalenie płuc, w Znamience. Miałam gorączkę, tak mnie coś niesło, chciałam lecieć, do jeziora wykopać się. Kopaliśmy takie doły, składało się tam lód wycięty z Irtysza. Irtysz zamarzał nieraz na 1,5 metra! Ciężko się ten lód takimi strasznie ciężkimi łomami. Ciężko się w kostki. A myśmy podsuwali pod to belki z drzewa i potem ładowało się to na sanie. Pracowali z nami mężczyźni. Ten lód był czyścusiński, aż błękitny. Na brzegu były baraki obłożone słomą, i oni tam w środku składowali lód. Tam duży Rybzawod, przetwórnia ryb. I oni ten lód zabierali, do mleczarni też. Wykorzystywali go w lecie. Koło tego Rybzawodu kazali wykopać nam duży dół na ten lód, żeby nie musieli go wozić. I oparłam się w czasie kopania o ziemię w tym dole. Byłam spocona i dużo nie brakowało. Bardzo wtedy chorowałam.

Po rozpoczęciu pracy w Znamience do Połogrudowej już nie wróciliśmy. Reszta rodziny do nas dojechała. W Znamience mieliśmy bardzo dobre mieszkanie w szkole. Przed śmiercią mamy zaczęto tworzyć armię polską, w Sumach. Ojciec mógł wcześniej iść do wojska, ale ze względu na chorobę mamy pozostał. Dopiero po śmierci mamy poszedł. Poszedł w marcu 1944r. Był w Sumach. Wszyscy którzy tam zostali wcieleni do wojska, mogli starać się o ściągnięcie rodzin. Załatwił niezbędne dokumenty i przesłał nam. Już związany był z Janką. Poznał ją w Znamience. I ona wtedy już decydowała, co i jak. Wysłał nam dokumenty, suchary kazał nam suszyć. Sumy są na Ukrainie. Mobilizowali wszystkich, 15-to, 16-to letni chłopcy i dziewczęta szli, kto tylko mógł. Od nas nie wcielali do wojska rosyjskiego. Bardzo dużo ludzi poszło do Andersa. Ale wtedy nie można było brać ze sobą rodzin. Myśmy wyjeżdżali ze Znamienki jako jedni z pierwszych,

z Polaków. To było we wrześniu 1944r. Najpierw czekaliśmy w Znamieńcu na przystani na statek, przez miesiąc! Siedzieliśmy w takim żelaznym baku, w cysternie. Siens chłopaki tam przynieśli i tam mieszkaliśmy przez miesiąc. Cały wrzesień, zimno już było. Wypłynęliśmy jeszcze we wrześniu. Dokumenty mieliśmy, ale płynęliśmy nielegalnie, nie pamiętam dlaczego. Siedzieliśmy na dnie statku, na węglu. Po 5 dniach dopłynęliśmy do Omska. Płynęliśmy bardzo powoli, statek często się psuł, staliśmy chyba w Tarze. W czasie tej podróży było dosyć ciepło. W Omsku zajęła się nami Rosjenka, wojskowa. Była w randze porucznika, w mundurze. Miała chyba jakiś "prikaz" opiekowania się nami. Marusia. Zajęła się nami bardzo troskliwie, arbuzów nam kupowała. Chyba ojciec ją skądś wytrzesnął. Ona nas czekała, gdy przy płynęliśmy do Omska. To był duży okręt pasażerski, płynął z Tobolska. Ale nam nie wolno było wychodzić na pokład, musieliśmy siedzieć tam na dole. Ona nas potem wsadziła do wojskowego transportu, do pociągu. Chodziła z nami na bazar, przestrzegała, żeby uważać, bo strasznie kradną. A mnie i tak okradli. Miałam taką wiatrówkę angielską /ojciec nam przysłał trochę maneli/, pracowałam w wojsku przy mundurowaniu, w magazynie, wełnianą. Miałam w niej podwójne kieszonki od wewnątrz, spięte agrafką, i tak ukradli. W Omsku byliśmy przez miesiąc. Najedliśmy się do woli arbuzów. Jadwiga w tym czasie /w Rosji/ pisała pamiętnik. I ten pamiętnik ocalał. Kiedyś, już długo po wojnie, Jadwiga zaoferowała nam go czytać. I tak żeśmy się poryczywały, że podarliśmy go i wyrzuciliśmy go do kubła. Ale Jurek zebrał to i dał jakiemuś historykowi, chyba z Wrocławia. Z Omska jechaliśmy pociągiem do Żytomierza. Jechaliśmy chyba 3 miesiące. Droga była okropna. Jeszcze do Uralu to było jako tako - tutaj to praktycznie nie wiedzieli co to wojna. Nie było ruin, zgliszcz. Był za to głód. Ale za Uralem to już było strasznie - same ruiny, kikuty. Pociąg często stawał w polu, ludzie

wtedy się rozłązili. I kiedyś na takim postoju zginął nam Józek. Pociąg wiozł nie tylko Polaków, także inne narodowości. Staliśmy w Kijowie, okradli nas, Zocha nam zginęła, gdzieś na bazarze. Jeszcze w Znamience dostaliśmy trochę ciuchów z darów amerykańskich. W Kijowie nie było co jeść. I poszliśmy z tymi manelami na targ i nas okradli, wszystko nam zabrali. Do Żytomierza przyjechał ojciec. Mieliśmy tam wyzbaczoną kwaterę. Było tam bardzo dużo wojskowych, transportów, Polaków, innych narodowości będących w drodze. Jeszcze gdy czekaliśmy na statek w Znamience, Kryśka ciężko zachorowała na czerwonkę. Chłopcy, Józek, Staszek pojechali za Irtysz po czarne jagody. Oni wiedzieli, gdzie rosną. Jadła te jagody, sucharki i jakoś jej przeszło.

Gdy sobie teraz myślę o tym, to przychodzi taką refleksję: jak ci chłopcy, 10, 14 lat potrafili myśleć, planować co trzeba zrobić na jutro, co zdobyć, a ich nikt nie pilnował, nie mówił nic! Jacy oni byli dojrzałi, jacy dorośli! Patrz, Józek w Znamience zdobył kawałek blachy, miał młotek, kowadełko i już robił grzebienie! Poszedł na targ, dostał "lepioszki", szyszek cedrowych. /jadło się ziarenka. Ludzie mieli nasze przedwojenne monety, to Józek już robił pierścionki. A przecież nikt go nie uczył, nikt nie kazał, nikt mu nie o tym nie mówił. I na ryby chodzili, gdzieś ukradli łódź, sieci i już było parę ryb, czy szli na targ.

Przeżyli tylko ci zaradni. Np. Cwynary, Bronka ojciec, bardzo się załamali, umierali jak muchy. Gdy wujek nas odwiedzał w Znamience w szpitalu, to jak myśmy wyszli, to on już nie żył. On się zaraził swego brata zaraził, Oleksandra, też w starszym wieku, pomarli wszyscy. No bo starsi, nawet starsze dzieci, to już pracowali. Ja poza pracą też kombinowałam, jeździłam z rybakami po pszenicę, kosiłam. No a taki Józek, Staszek to zawodowo nie mogli jeszcze pracować,

bo to były jeszcze dzieci. Chociaż Józek to już pracował w "Rybza-
wodzie" zbijał skrzynki na ryby. Miał wtedy 10,12 lat. Józek już wtedy
przyjmował ryby od rybaków. Magazynier nauczył go oszukiwać, czasami
oszukał na 10,20 kg ryby... Tak kombinowali. Ryby były przyjmowane
w dużych koszach. To wtedy już można było wziąć te ryby, zjeść,
sprzedać, czy wymienić na coś innego.

Często szli w nocy wyciągnąć ryby rybakom z sieci, to kiedyś za nimi
strzelali... Ale przynieśli takiego wielkiego jesiotra, to rosół był
że palce lizać...

Czy Polacy uciekali? No gdy było porozumienie, to już nie, bo nas
już nie pilnowali. Ludzie szli sami. A wcześniej, to nie pamiętam.
Było za to dużo aresztowań, jeszcze na Syberii, jak nas przy-
wieźli. Taki Niemiec z Dobromiła, Łabuda, wzięli go, bez wieści
zginął...

Polaków też dużo aresztowali, takich bardziej urzędowych, wojskowych
Tam, gdzie myśmy byli to nie było tak jeszcze źle. Za nami na wschód
było o wiele gorzej.

Do nas raczej nie przywozili z innych obozów. Kiedyś pamiętam
wieźli szjatów, mówili na nich "kałmyki", tacy z warkoczykami, wieźli
ich na północ, do Tobolska.